

Jacek K. pisze do Piotra S. - RECENZJA

Z okien klubu Poczekalnia widać widzów wchodzących do Teatru Nowego. W jego środku też jest „Poczekalnia” – inscenizowany koncert, w którym nowe spojrzenie na twórczość Jacka Kaczmarskiego zaproponowali Jarosław Wojciechowski (scenariusz i reżyseria) i Tymon Tymański (aranżacje). Jakże? Odrzucające etykietę bardów Solidarności, która przywarła do duetu Kaczmarski-Gintrowski. Nie ma tu zatem piosenek np. z „Muzeum” – programu, który przez odwołanie do wybranych dzieł malarstwa podejmował tematy narodowe i polityczne, sytuując je jako część historycznego procesu. Nie ma więc żadnych „Autoportretów Witkacego”, „Kredek Kramsztyka” czy „Rejtanów...”. A jednak intencja realizatorów koncertu wydaje się podobna. Wydobyli oni to, co w tej twórczości jest mniej lub bardziej jawną krytyką społeczeństwa. Tego, które do dziś nie pozbyło się wielu wad.

Widzowie zmieniają optykę już na początku – na widownię Dużej Sceny wchodzi kulisą, podzieleni na grupy, prowadzeni przez szatnię i korytarzami. Nim przez scenę pójda ku fotelom (i zaczną obserwować idących sceną innych widzów – czyli de facto siebie), muszą minąć bramkę bezpieczeństwa obstawioną zuniformizowanymi Strażnikami jakiejś nieokreślonej służby bezpieczeństwa. Jarosław Wojciechowski osadził bowiem twórczość Kaczmarskiego w futurystycznej ramie, która przywołuje światy niektórych dystopijnych filmów Piotra Szulkina. I jak na człowieka związanego dotąd z teatrem od strony organizacyjno-administracyjnej (jest dyrektorem Centrum Kultury w Gdyni, pomysłodawcą i założycielem Sceny SAM, producentem teatralnym), poradził sobie dość dobrze.

„Ulubiony ludek”

Szulkinowski z ducha jest nieokreślony stan zagrożenia, który przenika świat sceniczny. Szulkinowski są postaci, obywatele nieokreślonego państwa, którzy niemal naturalnie, a na pewno bez sprzeciwu, traktują ingerencje Strażników w swoją prywatność – może „stan wyjątkowy” spowodowany jest zagrożeniem terrorystycznym, a może czymś innym. Szulkinowski jest przede wszystkim językowy wymiar instytucjonalnej opresji – wprowadzają go (jak należy mniemać, napisane przez Wojciechowskiego) krótkie tekstowe intermezza, wypowiedane przez Strażników przez megafony lub padające ze ściennych głośników, odnoszące się do dzisiejszych lęków (przynajmniej tej części społeczeństwa, która nie chce na powrót odcięcia od świata).

Intermezza spajają piosenki, komentują je (i pomysły inscenizacyjne), czasem – włączone do utworów – wskazują, jak je odczytać. Tak jak w „Kantyczce z lotu ptaka”, której fragmenty stają się chwilami szyderczą satyrą na zbiór narodowych wad, obsesji, mitów: na naród, który znów chciałby być przedmurzem chrześcijaństwa „i w pogańskiej krwi się pławić”; na fanatyzm, ksenofobię i wykorzystującą stereotypy propagandę („liczy chciwy Żyd i Niemiec/ dziś po ile polska czystość”); na niechęć do innowierców („Kalwin, Litwin nam ubliża”), megalomanię („Patrz mój dobrotliwy Boże/ na swój ulubiony ludek”) i myślenie spiskowe. I to wszystko w pięć minut. Ale tekst, który pierwotnie ujmował problem w jego złożoności, nie jest osadzony w aluzjach, ale bezpośrednio wskazuje winnego (z megafonu o „walutę” przymila się głosem Konrada Michalaka „katolicki głos w twoim domu”). Oczywiście zjawiska wyostrzyły się i zmieniło się jeśli nie znaczenie, to zabarwienie niektórych słów. Ale trafiając mocno w jedne zjawiska (nawet zgodnie z poglądami Kaczmarskiego – w radiomaryjne kierownictwo), inne spłaszcza – i rzecz nie tylko w tym, że w domach słuchaczy owej rozgłośni obok odbiorników leżą płyty Kaczmarskiego i Gintrowskiego. W efekcie Wojciechowski momentami rzeczywiście zaczyna przekonywać już przekonanych.

Dom w ogniu

Reżyser oparł spektakl na metaforze poczekalni, która jest światem zatrzymanym, niesamodzielnym, narzucającym bierność. Dla każdego utworu stworzył zdarzenie i wszystkie je ułożył w narracyjny ciąg: od wejścia do poczekalni, przez uruchamianie i interakcje kolejnych aktorów tworzących panoramę społecznych postaw, po odmalowanie „czasu zastygłego”, w jakim znalazł się ich świat. Świat, w którym zniewolenie jest niemal niewidoczne – albo widoczne dla nielicznych, nadwrażliwców, kochających wolność. Dlatego Tymon Tymański, którego otwierające „A my nie chcemy uciekać stąd” jest bardziej wykrzywane niż wyśpiewane, wpada na scenę w kaftanie bezpieczeństwa – ale nikogo to nie dziwi. Kaftan jest oczywiście tylko pozorny, jak pozorne jest szaleństwo – jest odwrotnie: widzimy na nim kaftan, bo nie widzimy łańcuchów, którymi związane pozostałe postaci.

Już w tej scenie widać, że „Poczekalnia” nie będzie scenicznym fajerwerkiem, że o rozbudowanej inscenizacji można pomarzyć. Jakby za tą ostrożnością w poruszaniu się w scenicznej materii szło przekonanie, by się spektakularnie nie wyłożyć. Dlatego czasem na scenie brakuje życia, dlatego kieruje się tutaj uwagę widza (słuchacza) głównie ku tekstom Kaczmarskiego. Aranżacje Tymańskiego są zresztą co najmniej dobre: „ciemna” ambientowa otchłań i mechaniczność jego muzyki, zmiana instrumentarium na elektryczne, wyprowadzają Kaczmarskiego i Gintrowskiego z dusznych sal studenckich klubów i przeglądów piosenki turystycznej.

Inna rzecz, że aktorzy Nowego w tych nie tyle śpiewanych, co melorecytowanych utworach dobrze się odnaleźli. Świetny jest Gracjan Kielar, który w „Ja”, jako barman poczekalnianego bufetu, dynamiczniej niż w niegdyś Gintrowski wykonuje mały hymn ni to jednostki broniącej autonomii wśród „zniewolonych umysłów”, ni to odzégnującej się od zaangażowania i czekającej aż „ja” zmieni się w „my”. Z mocą i dramatyzmem prowadzi Marek Lipski „Kantyczkę”, z wyczuciem niuansów Barbara Dembińska interpretuje „Starych ludzi w autobusie” (ciekawie pomyślana scena tłoku, w którym Strażnicy upodabniają się do pasażerów). Siłę skrótu i estradowego nerwu godną Przeglądu Piosenki Aktorskiej pokazuje Adam Mortas w „Synu marnotrwanym”. Melancholijny, słodko-gorzki ton wprowadza Wojciech Oleksiewicz do „Pytań retorycznych” (w duecie z zaangażowaną Darią Krzyżaniak), „Mimochodem” i finałowej „Poczekalni” jako pieśni odjeżdżającego, który żegna się z krajem, ale – aresztowany – nie może opuścić poczekalni. Dobre jest połączenie „Przybycia Tytanów” i „Portretu zbiorowego z zabytkowym wnętrzu” (śpiewają Strażnicy, przechodzący w partyjnych „namiestników”) oraz zbiorowo wykonana „Antylitania” z rytmem wytupanym na nutę pieśni niewolników. Ciekawą rolę powierzono Darii Krzyżaniak – jedynej w obsadzie z musicalowo postawionym głosem i tanecznie wyedukowanej. Czym jest w „Postmodernizmie” ucieczka jej postaci w bez troskę, w nieokiełzaną kobiecość i taniec, które porywają nawet Strażników? Pozorną relatywizacją wartości w świecie, który je zakłamuje, czy chwilową ucieczką w zabawę? A może jednym i drugim?

Tak, „Poczekalnia” w Teatrze Nowym im. K. Dejmka jest deklaratywna, zrobiona z dość jasnych pozycji, a jednak sięgnięcie na koniec – po oklaskach – po „Modlitwę o wschodzie słońca” wprowadza nowy ton. Geneza utworu jest znana: gdy Kaczmarski i Gintrowski pokazali się pierwszy raz szerszej publiczności, w czasie gdy powstała Solidarność, otrzymali ze Szwecji przesyłkę z tekstem autorstwa Natana Tenenbauma, satyryka związanego z kabaretem Hybrydy i STS-em. Utwór stał się ich credo „na czas solidarnościowej walki”. W „Poczekalni” użyty jest tak ostentacyjnie, że nie można widzieć w nim próby budowania analogii między różnymi czasami. Właściwiej będzie traktować go jako napisany teraz. I dopełniający pytanie o zdolność do trwałego, ponadczasowego rozporządzania wartościami, o swoiste fatum – powtórzoną lekcję historii. I o przysłą cenę „chwili przejściowej, lecz nie bezkarnej”.

Łukasz Kaczyński